

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

21

Pani Mela Klugfeder szła świetna, pachnąca, wystrojona, dumna ze swego nowego kapelusza, kształtem przypominającego pocisk szrapnelowy, ogromnego, najmodniejszego zarekawka „à la Zeppelin“, ze swojej spodnicy niezwykle krótkiej, a za to nadzwyczaj szerokiej, z bucików lakierem obkładanych, o modnych wysokich cholewkach. Tylko żakiet... niestety! zeszłoroczny i niestety! z fałszywych „sealskinów“ stanowił plamę na słońcu zadowolenia pani Meli. Pocięszała się wszakże, że imitacja jest dobra, żakiet umiejętnie odświeżony i „prezentuje“ się doskonale. Nie wątpiła też, że równie pięknie prezentują się: jej misterna fryzura, udająca obfitość włosów, cera, która miała naśladować biel lilii zmieszana z barwą róż wiosennych i pełna figura, nadmiernie naprzd podana z powodu zbyt wąskich i zbyt wysokich obcasów. Klugfederowa była wzrostu prawie małego, a koniecznie chciała wydawać się wyższą. Sztukowała więc swój wzrost obcasami i korkami. To „podwyższanie“ spowodowało komiczne wygięcie całej postaci, a krokiem pani Meli odbierało pewność. Stąpała chwiejnie nieco, jakby kołysząc się i uważała, że właśnie tego rodzaju chód ma swój specjalny wdzięk.

— Mela, dzisiaj jest ślizko — zwrócił jej dzisiaj uwagę mąż, kiedy wychodzili z domu — poco tobie takie wysokie obcasy? Ty się możesz przewrócić... Ty jeszcze złamiesz rękę i nogę...

— Ty lepiej bądź cicho, Moryc, bo ty jesteś głupi... — ofuknęła go w odpowiedzi.

Klugfeder machnął ręką i nic więcej nie powiedział, bo przywykł do tego, że żona nie liczy się z jego zdaniem. Zresztą on nie lubił dużo mówić. Z natury był cichy, spokojny, mało mówny.

Nie wtrącał się też prawie wcale do ożywionej rozmowy, jaką teraz pani Mela idąc ulicą, prowadziła z jego bratem.

Leon Klugfeder mało przypominał brata rysami twarzy, a jeszcze mniej zachowaniem i całem usposobieniem. Ze jest gwałtowny, znać to było po jego ruchach nerwowych i częstym marszczeniu brwi, że sprytny i chytry — przeświecało w oczach piwnych, okrągłych, wypukłych, ukrytych za szklami binokli... Minę miał bardzo pewną siebie, prawie arogancką, zdradzającą wielką zarozumiałość. Ryżawą głowę, zakończoną niewielką w ostrym klin przyciętą bródką, podnosił dumnie do góry, a zadzierał ją jeszcze wyżej od czasu, gdy przywdział elegancki, świeżutki mundur wojskowy i pełnił wygodną służbę „bez broni“.

Twardy, despotyczny ton dźwięczał w tej chwili w jego głosie, gdy nerwowo poprawiając i przecierając szklę, mówił do bratowej:

— Mnie się to wcale nie podoba! I to nie może tak być! Das ist ganz unzulässig!...

Pani Mela wzruszyła ramionami.

— Powiedz mi, Leon, czy ty jesteś Otello z tragedii?

— Co ty mi zawracasz głowę Otellem?

— No, jak ty nie jesteś Otello, tylko Leon Klugfeder, co chce zrobić dobrą partię, to co ciebie może obchodzić, że ona sobie tam z kimś spacerowała po ulicy... Czy to mało ludzi spaceruje?

Leon Klugfeder gwałtownie wyciągnął binokle na nos.

— Ty sobie jesteś wyborną Melą!... Mnie to nie ma obchodzić, że moja narzeczona chodzi sobie z jakimś „gojem“ mit einem polnischen I gionär i patrzy mu w oczy...

— Na pewne ma ładne oczy... — uśmiechnęła się Klugfederowa.

— Proszę cię, to nie są żadne żarty — obruszył się szwagier.

— To ja też tobie powiem seryo, że popierwsze Różia nie jest jeszcze twoją narzeczoną...

— Jakto, czyś ty nie mówiła z Goldbaumami?

— Naturalnie, że mówiłam i Goldbaum powiedział, że ty możesz się starać, a on jeszcze się namyślił...

Leon przyciął zębami wargę. Oczy błysnęły mu żółtawym, złym płomieniem.

— Co to ma znaczyć? Czy on nie wie, kto ja jestem!... On się jeszcze potrzebuje stawiać...

— Jak kto ma miliony, to on się może stawiać — odparła pani Mela z melancholijnym westchnieniem — a zresztą powiedz mi, która to była godzina, jak ty ich spotkałeś?

— Co za różnica, która? No, to było koło południa.

— To jest wielka różnica... Bardzo wielka różnica... Bo jak panna spaceruje z kawalerem po ulicy w południe, to niema się czego bać... Jakbyś ty ją spotkał z nim o północy, to byłoby co innego...

No, ja dziękuję pięknie i za takie południowe romanse — mruknął Leon — ich werde mich schön bedanken... Skąd ja mogę wiedzieć, co ona robi o północy!...

— Różia jest zacna dziewczyna — odezwał się milczący dotychczas Maurycy Klugfeder — ona napewno nie robi nic złego...

— Widzisz Leon, ty masz nowy powód do zazdrości... Twój brat jest zapalonym adoratorem...

Nie zdążyła dokończyć, kiedy na śliskim chodniku przekrzywił się jej obcas. Byłaby upadła, gdyby jej mąż w porę nie uchwycił pod ramię.

— A co, nie mówiłem — mruknął — ty złamiesz jeszcze rękę i nogę.

— To ty mnie potraciłeś — odrzuciła ze złością pani Mela — chodzisz jak niedźwiedź...

Maurycy Klugfeder swoim zwyczajem machnął ręką bez słowa odpowiedzi. Uważniej tylko śledził wzrokiem kroki żony, przekonany widocznie, że jego przepowiednia może się spełnić.

Pani Mela, stąpając jeszcze wolniej, jeszcze ostrożniej, powróciła do przerwanej tematy.

— Ty nie rób żadne historye, Leon... Różia jest trochę „eigensinnig“ i ona mogłaby się obrazić. A ten chłopak... ja wiem kto to jest... on przyjechał na kilka dni na urlop... On sobie pojedzie...

— Wszystko jedno... Mnie się to nie podoba. Skąd ona wogóle zna tego Legionistę? Co to za znajomość jest dla przyszłej mecenasowej, Leonowej Klugfeder?

— Widzisz — tłumaczyła pani Mela — Różia ma dużo znajomości z Polakami. Ja w polskich towarzystwach lubię. Ona się dużo naczytała polskich książek i wyobraża sobie, że ona jest także wielka Polka...

Leon skrzywił się niechętnie.

— No, to się prędko zmieni... ja takich głupstw nie ścierpię u żony. Jestem syonistą i ona musi być także syonistką...

Pani Mela wydeła lekceważąco wargi. Wszystkie kwestie polityczne były dla niej najzupełniej obojętne.

Ale Moryc Klugfeder podniósł głowę i zapytał swoim cichym, jakby sennym głosem:

— Ty jesteś syonista Leon? Ty chcesz wyjechać do Palestyny?

Leon spojrzął na brata z wyraźnym politowaniem, jakby mu chciał powiedzieć: „jakiś ty głupi, jak ty nic nie rozumiesz“...

Po co ja mam jechać do Palestyny? Ja sobie tutaj mogę urządzić syoński kraj i robić interesy... Gdziebym ja szukał takich głupich polskich chamów?...

Maurycy rozejrzał się naokoło z jakimś przestraczeniem i rzekł, zniżając głos prawie do szeptu:

— Czy tylko Polacy się na to zgodzą?

Leon zaśmiał się głośno.

— Dobry sobie jesteś!... A kto się ich będzie pytał?!

— Przecież to polski kraj.

— Jaki polski? To jest Austria und wir sind „oesterreichische Bürger“.

Maurycy znowu machnął ręką, dając widocznie za wygrane dyskusji z bratem adwokatem.

A Leon Klugfeder, prostując swą niewysoką, szczupłą, bardzo ruchliwą postać, mówił z pogardliwym uśmiechem:

— Polacy... polski kraj... Co oni mają?.. Kościoty i Legiony... a z tymi Legionami to już także będzie krótka zabawka... Oni się już dosyć nabrzakali szabelką... Niemcy teraz mówią: „es ist genug!“...

Maurycy w tej chwili z przerażeniem spojrzął na dwóch przechodzących Legionistów, którzy mogli słyszeć te wyzywające słowa, bo Leon mówił dość głośno.

— Leon!... psł cicho!... still!... co ty wygadujesz!... ty sobie napytasz awanturę!...

Adwokat przyjął przestrożę brata ruszeniem ramion.

— Dlaczego mam być cicho? Czy to ja nie jestem u siebie?

Zniżył jednakowoż głos, popatrzył także na Legionistów i przestał mówić o Polsce i Polakach.

Zbliżono się już zresztą do domu Goldbauma.

— Piękna kamienica — rzekł Leon — wspinały punki... To pójdzie w górę... Goldbaum brylantowy interes zrobił, że to kupił...

— On mi mówił — rzuciła niby obojętnie pani Mela — że ta kamienica to będzie posag Rózi...

Leonowi zaświeciły się poządlawie oczy z zaskakiem:

— Czy on tylko napewno da?

— Da! — oświadczyła stanowczo Klugfederowa — Przecież to jedyna córka i on ma tylko dwoje dzieci.

Kandydat do ręki Goldbaumówny zamyślił się głęboko. Wargi jego poruszały się lekko, jakby coś liczył po cichu.

— Tak! — powiedział wreszcie z uznaniem — Ten Goldbaum ma głowę... A teraz każdy, kto ma głowę, może zrobić miliony... jetzt oder nimmer. Trzeba się spieszyć... Taka złota wojna, to się nieprędko może znowu trafić!...

Klugfederowa z wyraźnym wyrzutem, z błyskiem gniewu w oczach popatrzyła na swego męża. Leon pochwycił to spojrzenie, uśmiechnął się i rzucił tonem absolutnej wyższości.

— Słuchajno, Moryc, czy ja ciebie nigdy nie nauczę rozumu?... Kiedy ty zaczniesz brać się do rzeczy...

Cichy, blade człowiek z dwiema za nysłomieniami oczyma, popatrzył na brata spokojnie.

— Ja tego nie umiem...

— To się naucz!...

— Ja się tego nie chcę nauczyć!...

Żona jego aż zacięła zęby, obficie plombowane złotem.

— Ty słyszysz? — zwróciła się do szwagra — Z nim to tak zawsze!... On się nie chce nauczyć!... On chce zostać dziadem i żebym ja przy nim była dziadówką!...

Ironiczny uśmiech rozchylił cienkie wargi Maurycyego. Z pod przymrużonych powiek obrzucił wzrokiem wystrojoną kobietę. Ale zmilczał.

— Moryc — ciągnął dalej po mentorsku Leon — Mela ma doprawdy rację, że ty jesteś głupi... I jak ty będziesz tak dalej postępował, to nigdy nie zrobisz majątku...

— No — odrzekł flegmatycznie tamten — jeden Klugfeder będzie mądry i bogaty... to drugi może być ucziwy.

Leon błysnął oczyma i byłby z pewnością bardzo ostro odpowiedział bratu, gdyby nie to, że wstępowali już na schody i pani Mela szepnęła mu do ucha:

— Leon, ty tylko masz pamiętać o naszej umowie.

— Ja nie zapomnę, Mela... U mnie ein Wort ein Mann...

Goldbaum przywitał gości uprzejmie choć trochę powściągliwie, aby nie okazać za dużo Leonowi Klugfederowi, że go pragnie mieć za zięcia. Niemniej zadowolenie przeblyskiwało w jego żywych, czarnych oczach, przejawiało się w cieplejszym tonie głosu, w okrąglejszych ruchach, w mocniejszym podaniu ręki. Powstrzymał się nawet od jakiegokolwiek drwiącego dowcipu pod adresem pani Meli, chociaż miał wielką ochotę powiedzieć jej, że w swoim „szrapnelowym“ kapeluszu i z „zeppelinowym“ zarekawkiem wygląda jak nieudana wojenna wystawa, „a misslungene Kriegsausstellung“.

Rzucił tylko wokoło uważne spojrzenia badając czy wszystko wygląda tak, aby należycie zaimponować panu doktorowi. Przegląd wypadł korzystnie.

I Jagusia w czarnej sukni, z białym fartuszkem udawała nieźle elegancką pokojówkę i stół obficie zastawiony do podwieczórku, nęcił zarówno oko, jak podniebienie i pani domu jaśniała całym przepychem brązowych jedwabi i wspaniałych brylantów. Brylanty skrzyły się w uszach Goldbaumowej, lśniły pod szyją, migotały tęczywymi barwami na tłustych palcach.

Pani Mela pozieleniała pod warstwą bielidła i różu, a Leon Klugfeder uronił nieco ze swej aroganckiej zarozumiałości i z widocznym uszanowaniem spojrzął na tęścia in spe.

— Proszę... proszę bardzo siadać... — zapraszała Goldbaumowa, sama opadając pierwsza na krzesło — już podają kawę... Poldek ty daj spokój!... poczekaj!...

(Ciąg dalszy nastąpi).